Nr. 2. Kraków, w lutym 1904 r. Rok V.




Pismo dla kobiet

wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor. | zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal. | pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.

# GROMNICZNA.

Dla Wanduli.

I.

Mróz śnieżną podsiel w brylanty krysztali
i cmentarz skrzy...
a Ty przychodzisz przez śniegowe biele
i pod Twą stópką drży
skała — a mgła się nie zgina z opali,
i patrzysz jak w kościele
gromnice płoną
i organ huczy ponad rozmodloną
falą głów ludzkich — co kornie przegięta
do Ciebie dłonie wznosi, Matko Święta!...
...kadzideł dymy wiją się ku górze
i dzwony biją...
w śpiewie organów i w kadzideł chmurze
Ty stoisz Biała Lilijo
na złotym sierpie miesiąca...
i wznosisz lice,
błogosławiąca
modły i — pszczelne gromnicę.

Gdzie okiem zajrzeć nad śniegową dalą,
w każdym kościele — w każdej polskiej chatce,
serca ku Tobie Przenajświętsza walą,
dłonie ku Tobie się wznoszą — ku Matce!...

W niewoli zimy święcim Ci gromnice,
abyś w dzień burzy była z nami Śliczna!
Byś, gdy zahuczą gromu błyskawice,
Ty kierowała niemi, Ty — Gromniczna!

II.

Nad strzechą cicha niebios toń,
słoneczne lśnią promienie,
od zbożnych pól, od kwietnych błoń
kwiatową, słodką niesie woń
łagodne wiatru tchnienie.

Przed chatą malw kwiatowy płot
zagląda w drobne szybki,
a z przyzby bury patrzy kot
na gołębianej rzeszy lot
to wolny, to znów hybki.

A w chacie kołyska biegunem takt daje
piosence, co płynie miarowo —

Na ścianie z za Twego obrazu wystaje
gromnica, jak każą odwieczne zwyczaje,
co strzeże chat — mocą gromową.

Z obrazu Ty patrzysz o Pani nad Pany,
w gwieździstej błękitów sukience,
na dzieci sen cichy, na białych chat ściany,
i słuchasz jak ręką matczyną trącany
wciąż biegun — takt daje piosence.

III.

Grom zawarczał! znów cisza pod chmurnym [całunem!...
...zda się słychać bijące trwogą, ziemi serce...
znów migło hasło burzy w gromowej iskierce
chmury paszczę rozwarły — i rykły piorunem.

Burza się rozszalała i zerwała pęta!
drzewa gną się struchlałe w burzy majestacie
i drżą ściany od wichru — a w bielonej chacie
gromnicy blask na twarz Twą pada — Pan- [no święta!

A Ty Jasna w gromach, w wichrze,
strojna w lazur i w gwieździce,
rączką — gasisz błyskawice...
i wnet grzmoty coraz cichsze,
i wnet wichry osłabione,
i wnet burza się przewali...
a Ty, strojna w gwiazd koronę,
płyniesz coraz dalej... dalej...
a za Tobą seraficzna
leci modłów woń kwiatowa,
i człek wdzięczny świecę chowa
znów za obraz Twój — Gromniczna!

IV.

Śmierć kościana zajrzała do chaty,
gdzieś Ty Jasna nad dziecka kołyską
uśmiechała się strojna w bławaty,
ze ścian bieli — popod ścielą niską.
Dziecku dawno przekwitły już róże,
dawno zwiędły już malwy u płota,
i minęła za życiem tęsknota
i młodzieńcze przegrzmiały już burze.
Śmierć już przyszła, więc w dłoń mu krze- [pnącą
pod obrazem, co strzegł mu kołyski,
przedśmiertelne już wziąwszy uściski,
wnuki — dały gromnicę — płonącą...

---

O kiedyż Pani! jakiś piorunowy
bój — Ty zakończysz anielską Twą mocą?
i znów z skalistej Twojej Częstochowy
blaski Twej dawnej chwały zamigocą,
gdy Jasnogórska zapłonie wieżyca
krzyżem — jak naszej niewoli gromnica?

Kiedyż nad nami po tak długiej zimie,
zjawisz się z twarzą słoneczną — radosną?
kiedyż znów Twoje Przenajświętsze Imię
zadzwoni szczęście, swobodę i wiosnę,
kiedyż Cię rzesza powitamy liczna:
„Polski Królowo — już — a nie Gromniczna!?

*Stach J.*

# Szymon Konarski.

W walkach wewnętrznych jakie toczyły się w Europie w ciągu XIX-go wieku, Polacy brali nader czynny udział. Wszędzie gdzie krew się lała, gdzie ludy powstawały w obronie praw swych i wolności, gdzie padały trony despotów pod naciskiem wzburzonych tłumów, wszędzie spotkać możemy rodaków naszych. Widzimy ich w legionach, jak z pieśnią „Jeszcze Polska nie zginęła“, z myślą zwróconą ku nieszczęśliwej ojczyznie, walczą pod sztandarami republiki francuskiej; widzimy potem we Włoszech, na Węgrzech, na barykadach Paryża i t. p. Polacy pozbawieni własnego niepodległego państwa, uciskani, prześladowani na swej rodzinnej ziemi nie przestawali ani na chwilę myśleć o odbudowaniu ojczyzny, wierzyli, że sprawa ich słuszną jest, sprawiedliwą, że ludy stać winny po ich stronie przeciw despotyzmowi i tyranii. Wierzyli, że gdy ruch rewolucyjny ogarnie wszystkie państwa, gdy ludy zwyciężą i Polska też wskrzeszoną zostanie; dlatego krew swą i siły nieśli w ofierze, brali udział w walkach o wolność, należeli do wszystkich towarzystw jawnych i tajnych, których celem była praca nad wyswobodzeniem narodów. Kiedy w 1834 roku patryota i rewolucyonista włoski, Józef Mazzini założył stowarzyszenie pod nazwą „Młoda Europa“, przystąpili doń i Polacy tworząc osobny oddział „Młoda Polska“ z główną siedzibą w Szwajcaryi.

Celem ich było przygotowanie ogólnej rewolucyi, wywalczenie uciskanym ludom nie-

podległości, zniesienie rządów despotycznych w całej Europie.

W krajach polskich, jęczących pod ciężkiem jarzmem trzech państw zaborczych: Rosyi, Prus i Austryi, podobne towarzystwa były surowo zakazane, tworzyły się też związki ukryte, pracujące w najgłębszej tajemnicy, ścigane przez policyę i szpiegów. W Galicyi rozwijało się „Stowarzyszenie ludu polskiego“, a celem ostatecznym było oswobodzenie ojczyzny, ale patryoci nauczeni smutnem doświadczeniem wiedzieli, że nie odbuduje jej garstka szlachty, że do wielkiego dzieła wezwać należy wszystkich synów Polski, milionowy lud, — że należy przedtem ciemny ten lud oświecić, zbudzić w nim miłość ziemi rodzinnej, wyswobodzić go z poddaństwa, znieść pańszczyznę, przygotować do ważnej roli obrońcy ojczyzny. Towarzystwo wszędzie po kraju całym wysyłało ludzi pełnych poświęcenia, którzy podejmowali się wzniosłej a niebezpiecznej misyi oświecania ludu, przygotowana przyszłych bojowników wolności. Nazywano ich emisaryuszami. Z głęboką wiarą w sprawę której służyli, z narażeniem wolności swej, szli emisaryusze budzić ciemne, uśpione tłumy do nowego życia. Najczyniejszym wśród nich, najszlachetniejszym był bezwątpienia Szymon Konarski. Brał on w 1831 roku czynny udział w listopadowem powstaniu, a gdy nadzieje upadły, gdy zbrojny ruch stłumiony został, poszedł wraz z innymi na emigracyę, powędrował do Francyi i na obczyznie nie przestawał snuć planów oswobodzenia ojczyzny. Zapoznawszy się zagranicą z urządzeniem „Młodej Polski“, na jej wzór przekształcił istniejące w Galicyi tajne stowarzyszenie „Ludu polskiego“ i jako emisaryusz podjął się najtrudniejszego zadania, miał pracować w zaborze rosyjskim, w ziemiach litewsko-ruskich, prześladowanych srodze przez okrutnego cara Mikołaja. Przebrany, pod obcem nazwiskiem, Szymon Konarski przebiegał niezmordowanie Wołyń, Podole, Litwę, zjednywał dla sprawy swojej ludzi dobrej woli, tworzył tajemny „Związek narodowy“ dla zniesienia pańszczyzny i poddaństwa włościan, dla przygotowania ludu do śmiertelnej walki o niepodległość. Konarski umiał wymową swoją, wiarą, zapałem porywać umysły, umiał trafiać do serc, budzić w nich wielką miłość ziemi i ludu. Za jego natchnionem słowem szli panowie i chłopi, starcy i młodzież, mężczyźni i kobiety. „Związek narodowy“ zyskiwał coraz to nowych członków, pełnych energii i poświęcenia, składali oni uroczystą przysięgę w słowach następujących: „Przed obliczem Boga i całej ludzkości, na imię świętej narodowości polskiej, na miłość, która mnie łączy z nieszczęśliwą moją ojczyzną, na cierpienia jakich ona doświadcza, na wszystkie te męki jakie bracia moi Polacy ponoszą, na łzy matek za swych synów wylane, którzy zginęli lub dziś giną w minach Sybiru lub w kazamatach fortec, na trwogę mojej duszy, straszną tę obumartość, na krew męczenników już przelaną i jeszcze przelać się mającą na ołtarzu poświęcenia się za ojczyznę; na pamięć wiekopomnego i okropnego zabójstwa Polski: ja (tu następowało nazwisko) — wiedząc, że na zasadzie praw boskich i ludzkich wszyscy ludzie są równi, wolni i braterstwem z sobą związani; że walka z gwałtem i nierównością jest cnotą i obowiązkiem, wstępuję do „Stowarzyszenia ludu polskiego“, jako do swobodnego związku uciemiężonych Polaków przeciwko swym ciemięzcom, aby „ojczyznę moją przyzwać do nowego życia“.

Tajemna ta praca nie mogła ujść długo przed czujnem okiem policyi i władz rządowych, rozpoczęły się poszukiwania, rozpuszczono po kraju gromady szpiegów dla schwytania niebezpiecznego emisaryusza. Konarski poznany i przytrzymany w Wilnie, okuty w kajdany, dostał się do więzienia.

Trudno zaprawdę wyobrazić sobie te straszne męczarnie, jakie zadawano emisaryuszowi, by zmusić go do zdradzenia współtowarzyszy spisku, do wydania tych wszystkich, co należeli do tajnego związku. Krajano mu skórę na plecach i w świeże rany kapano roztopionym lakiem lub nalewano w nie spirytusu i zapalano; za paznogcie wbijano gwoździe, wyciągano palce ze stawów, pastwiono się po barbarzyńsku nad nieszczęśliwym.

Ale męki te siły ducha jego złamać nie były w stanie, Konarski tracił przytomność, mdlał z bólu, ale nie wydał nikogo, słowem jednem nie zdradził tajemnicy. Jego niezłomna wola, siła ducha nawet w katach, nawet w prześladowcach moskiewskich, budziły podziw: „to żelazny człowiek“ mówiono.

Cierpienia swe wyraził Konarski w następującym wierszu pisanym w więzieniu:

„Panie, za co ja cierpię i tak cierpię jeszcze?
„Uchwyciłeś mnie w srogie cierpień ludu [kleszcze!

„I dręczysz i mordujesz jak szkodliwą żmiję,
„Co kipi przygnieciona, kurczy się i wije.
„Wszakże ja w sobie serce mam tylko czło-
[wieka,
„A Ty w nim umieściłeś wszystko, co dopieka,
„Co gryzie, co morduje, co męczy, co boli,
„W życiu — niebo nadziei, tu — piekło niedoli!

Bolały go nietylko własne bóle, cierpiał nad losem tych wszystkich szlachetnych członków „Związku narodowego“, którzy w toku śledztwa dostali się do więzienia. Skazywano ich na dożywotnie ciężkie roboty, wysyłano na Syberyę, oddawano do wojska. Konarski otrzymał wyrok śmierci 14 lutego 1839 roku. Przyjął go mężnie, ze spokojem, w ostatnim wierszu, pisanym na kilka godzin przed rozstrzelaniem, zwraca się ku ukochanej, nieszczęśliwej ojczyźnie i kończy go słowami: „Polskę zbaw Panie! Polskę wybaw Boże!“

Tysiące ludzi towarzyszyło mu na plac stracenia, jękiem i płaczem żegnając męczennika. Gdy skonał, we krwi jego maczano szaty, mogiłę zasypano kwiatami.

Szymon Konarski jest jedną z najpiękniejszych postaci naszych smutnych i krwawych dziejów porozbiorowych, należy mu się miejsce wśród męczenników sprawy narodowej, wśród tych, co począwszy od Kościuszkowskiego powstania aż do dni naszych pracę i życie swe oddawali dla Polski, padli ofiarą miłości ziemi i ludu.

*Helena Witkowska.*

# Z pożółkłych kartek.

Przepisała A. Bandrowska.

Postanowiwszy skreślić kilka obrazków z minionego stulecia walk o niepodległość na podstawie codziennej kroniki rodzinnej, muszę je kilku poprzedzić uwagami. Oto, zdarzyło mi się nieraz spotkać z zasadą zwłaszcza między pewnemi warstwami przyjętą, że klęsk narodowych, smutnych dat pogromu, nie należy rozpamiętywać, święcić uroczystymi lub żałobnymi obchodami. Ma to zdaniem niektórych, wpływać ujemnie na zgnębiony i tak dostatecznie nastrój duchowy narodu. Zaś gdy jest mowa o krwawej dacie 63 roku, nazywają go rokiem nieszczęsnym, a podjętą w nim walkę o niepodległość, krokiem nieobrachowanym, niedojrzałym, rozpaczliwym wybuchem, który o straszne straty i rany przyprawił naród na długo. Może więc wspomnienie jego wywołać tylko żal i boleść, a zdaniem niektórych, nawet wstyd w sercu rodaków, należy go więc z tych dwóch przyczyn wymazać z pamięci a krzepić upadłego ducha świetnemi datami tryumfów narodowych. Odpowiedzią na te filisterskie zasady, niech będą przekonania i ideały innych ziomków naszych, których słowa i pióra czcić przywykliśmy, jako zasłużonych pisarzy narodowych i obywateli. Do tych należą: poległy w boju żołnierz i poeta, Mieczysław Romanowski, druh jego serdeczny zmarły niedawno, Mieczysław Pawlikowski, genialny ekonomista i publicysta Stanisław Szczepanowski i znakomity poeta i myśliciel Adam Asnyk. On to nazywa w pismach swoich walkę 63 r., ostatnim rapsodem rycerskim Polski, krwawą rehabilitacyą zhańbionego narodu, głośnym protestem duchowym i orężnym. który po latach letargu krzyknął światu: Nie zginęliśmy! — i powtarzał to przy tysiącznym huku strzałów karabinowych — a choć upadł — wypisał nieśmiertelnemi głoskami na pogrobowej karcie narodu polskiego nieśmiertelne „Jestem“!

Walka o niepodległość 63 roku, z ideałów, z jakich się zrodziła, w okolicznościach, w jakich wybuchła i w jakich się toczyła, jakich miała obrońców i na jakie bohaterskie zdobywała czyny, lubo się nie udała — jednak zdaniem nawet obcych pisarzy, niemców i francuzów, czczących ideały ludzkości, przysporzyła więcej chwały swoim rodakom, aniżeli złote daty dziejowych tryumfów, wolnej, bogatej i szczęśliwej Rzeczypospolitej.

Wspaniałą choć krwawą apoteozę roku 63-go kreśli wyżej wspomniany poeta w trzecim tomie swoich poezyi, poświęcając ją „Współczestnikom“.

W niej, jako rzecznik idealny treści narodu, smutny lecz dumny w upadku Wajdelota mówi: *)

My obchodzimy, twą rocznicę smętną
Bo dawnych zwycięstw święcić dziś nie śmiemy.
Niewolnik — hańby swej noszący piętno,
W rocznicę chwały Ojców stoi niemy —
A tylko ta mu droga jest i święta
W której sam skruszyć chciał krzywdzące pęta!

*) Adam Mickiewicz.

I.

## OCHOTNICY.

Wspomnienie to poświęcam wszystkim moim znajomym Litwinom *A. B.*

Przekradaliśmy się już dni kilkanaście, cicho, ostrożnie, po jednemu, z jednego ostępu w drugi, przez krzaki, wertepy, moczary, szukając w nocy drogi po omacku, bo krzesać ognia baliśmy się, aby nie zbudzić czujności nieustannie krążących w całej okolicy patroli kozackich. Byliśmy już blisko kresu, kiedy natrafiliśmy najniespodzianiej na pikietę moskiewską wychylającą się z lasu — pikieta nas nie spostrzegła, bośmy jako wprawni tyralierzy na brzuchach w gęstych zaroślach, przesunęli się tuż pod jej nogami i znikli w oczeretach. Uciekać nie było gdzie... śmierć w bagnie, lub oddanie się w ręce kozaków, — poleciliśmy więc dusze nasze Bogu i jak dzikie kaczki przypadliśmy w trzęsawisko.

Szmer jakiś doszedł snać czujnej straży kozackiej, bo żołnierz złożył się raptownie do wystrzału i wrzasnął na całe gardło: „Kto idiot?*)“ Przerażone wrzaskiem tym, wodne jakieś ptactwo, a zarazem niespodziewaną naszą wizytą, furknęło z krzykiem w powietrze. Poczciwe ptaszęta, może nam i życie uratowały, bo w tejże chwili, trzcina potrącona przez nas potężnie się zakołysała, a kozak machnąwszy pogardliwie ręką, mruknął: „to eto ptycia sobaka**)“ i odwrócił się gniewny w przeciwną stronę.

Natrafiliśmy na grząski grunt o rudej barwie, w który zapadliśmy w jednej chwili powyżej pasa, gruntując zarazem nogami ziemię; wodna trzcina, splątana z łozami, sięgała wysokości dorosłego mężczyzny.

Spojrzeliśmy po sobie z pewnem zadowoleniem, żeśmy marnej śmierci uniknęli w bagnie, a Zygmunt P. na migi pokazywał, „że co ma wisieć nie utonie“. W istocie bo też to przysłowie — jakby przylgnęło do nas, lub też się wraz z nami rodziło, dowodziło nam dość często w praktyce swojej trafności.

Pytanie teraz, jak długo będziemy wczasu używać w tych żelazistych kąpielach? W najlepszym razie do wieczora, pomyślałem sobie, jeśli placówka prędzej się nie oddali. — Bagatela, teraz zaledwie druga z południa, szepnąłem w same ucho, nachylającego się ku mnie Zygmunta.

— Nic sobie — lekarz mi i tak nakazał używać kąpieli z rudy żelazistej, a jakoś zawsze zbywało na sposobności, aż w tej „letuwej ziemi“.

Położyłem w przestrachu palec na usta, nakazując mu milczenie, bo ufny w swoją szczęśliwą, jak mawiał gwiazdę, zabierał się już po swojemu, zabawiać nas konceptami, tuż pod nogami placówki moskiewskiej.

Człowiek ten posiadał temperament iście pozazdroszczenia godny, który go nigdy i nigdzie nie zawodził, a w chwilach takich, które krew w żyłach mroziły, tryskał można powiedzieć dopiero dowcipem i swobodą. Jego zimna krew i lekceważenie niebezpieczeństwa, budowało szeregi i ocalało nieraz od zgubnych rozpaczliwych kroków. Tacy to często będąc ujęci przez Moskali, dawali tak śmiałe i zdumiewiające odpowiedzi, a zdobywając się w najkrytyczniejszych położeniach na pomysły iście genialne, w podziw wprowadzali wrogów. Gdy jednak niestety i to czasem zadwiodło, można było widzieć ich z tymże samym uśmiechem milczącej pogardy idących na śmierć i drwiących z materyalnej brutalnej przemocy ludzkiej.

Sam widok już takich bohaterów budował tłumy, a niepokojem napełniał wrogi, bo widok ich wyraźnie przemawiał: Naszej energii moralnej, werwy narodowej, żądzy poświęcenia nic nie stłumi, na miejsce każdego z nas, stu innych wyrośnie.

Jednym z tych ludzi był i kolega nasz Zygmunt P. Jak mówię zazdrościłem mu tego szczęśliwego daru natury, a choć idąc do powstania, byłem również na wszystko przygotowany, jednak na to, co on nieraz dokazywał, byłbym się nigdy nie zdobył. Z obozu do obozu, obiegała opowieść o zabawnym jego fortelu, jakim się był raz wykpił z objęć Moskali. Oto razu jednego ścigany był w majątku Z. Gdy oddział kozaków z oficerem na czele przybył do łazienek, w których miał się ukryć ścigany, miasto zbrojnego powstańca, ujrzeli jak najspokojniej zstępującego po wschodach do basenu*) rozebranego mężczyznę, który na widok kozaków wpadł wściekły gniew, a zelżywszy ich od „sukinsyna“, obiecał każdemu po 100 pletni z powrotem.

Żołnierze z oficerem co tchu zawrócili, domyślając się, że generał przybyły dziś rano z Warszawy, a podejmowany gościnnie przez właściciela majątku używa kąpieli. Za przybyciem do dworu, gdzie im kazał czekać na dalsze rozkazy, wszystko się wyjaśniło. — Prawdziwy generał obiecał ich wszystkich w Sybir

*) Idzie? **) To tylko ptak bestyja.

*) Łazienka.

wysłać i co tchu z całym garnizonem przybył na miejsce, lecz zastał tylko bilet wizytowy, a w nim: „Pisz Pan do mnie na Berdyczów“ sługa Zygmunt P.

Od owego czasu i jeszcze kilku innych podobnych wypadków, gdzie prawie tylko cynicznej swej odwadze życie zawdzięczał, począł wierzyć przesądnie w swoją szczęśliwą gwiazdę i lazł bezustannie Moskalom w oczy, podejmując się najfalniejszych misyi.

W tej chwili, owej fatalnej przymusowej kąpieli, która Bóg wie, jak się skończyć mogła, pokonywał tylko widocznym wysiłkiem woli, serdeczną chęć do wybuchnięcia szalonym śmiechem. Do tej niewczesnej wesołości pobudzał go młodziuchny towarzysz broni, Maryusz L., znany ze swych pańskich (jak nazywano) nawyknień i wyglądu. Miał on też na sobie i ubiór powstańczy z wybredniejszej materyi i jakaś szarfka dwukolorowa powiewała mu na ramieniu, gdy z domu wychodził, ale mu ją natychmiast Zygmunt skonfiskował.

— On nas temi szmatami pierwszy zdradzić gotowy a sam po drodze gdzieś na tej swojej szarfie zawiśnie, jeśli go uprzejmi Moskale wprzód sami na niej nie powieszą. Bieda to niemała będzie w drodze z tym paniczem, bo lubo przywłaszczył sobie imię bohatera plebsu rzymskiego, będzie miał plebs, jak mi się widzi mało z niego pociechy.

Gniewały mię nieraz te żarty kosztem młodego kolegi, ponieważ w żadnej mierze nie zasługiwał na nie. Nawyknienia wyniósł z domu gdzie go tak wychowano, a zresztą posiadał serce pełne szlachetnych porywów, zapału i poświęcenia.

Wiedziałem dobrze dlaczego ten młodziuchny, wychuchany chłopak, syn znanego magnackiego rodu, walczyć pragnie w obozie słynącym z cnót twardych i doli twardej. Marzyciel, — mówił o zrehabilitowaniu tych, których był krwią i kością, a których imię przestało budzić w ziomkach ufność, w szczerość ich patryotycznych zamiarów. Przypomniawszy sobie to wszystko, patrzyłem bez śmiechu na klasyczny profil jego, rudem błotem zbryzgany, który mi na wpół przysłaniały zielone szuwary. W amarantowej czapeczce obszytej czarnym barankiem, wyglądał, jak piękna panna.

Żal mi się zrobiło tego dzieciucha niespełna dwudziestoletniego, z gorączkowymi rumieńcami na delikatnej twarzy. Żałowałem tego szlachetnego porywu, jeżeli rozbić się miał o zdradę, niewiarę, niepowodzenie i klęski... jak tyle, tyle już innych.

Zygmunt pociągnął mnie za rękaw — trzymał w ręku gniazdo ptasie, robił się coraz śmielszy, słysząc głośny rozhowor placówki. Szelmy ptaki nie zniosły jaj, a myślałem — że będę tu obiadować. Ciekaw jestem, co też one mają lepszego do roboty; przecież nie spiskują.

Rozglądnąłem się w mojem sąsiedztwie i ujrzałem aż kilka gniazd z jajami, w jednem były już pisklęta.... Biedne wygnane z gniazd rodzinnych ptaki! Czy wiecie, że ci co was wygnali, to biedniejsi od was tułacze we własnej ojczyźnie... Gdy wieczór zapadnie, gdy spokój powróci w nadbrzeżne szuwary, bezpiecznie wrócicie znowu na gniazda wasze — ale ci biedni ludzie, co wpośród przybytku waszego schronienia szukali, kędyż odnajdą swe gniazda po świecie?

Nie mając litości nad samym sobą, dziwna litość mię brała nad ptactwem; nie chciałem gniazd im burzyć, chociaż głód nas już męczył dzień cały. Ofiarę tylko gotów byłem zrobić dla rozpieszczonego towarzysza i podałem mu gniazdo z jajami. Otrząsnął się, panieński jakiś grymas wykrzywił mu piękne usta, a Zygmunt mruknął drwiąco:

— Jemu to robić rewolucyą.

W tem nagle odgłos tarabanów dał się słyszeć. Na to hasło huknęła nasza pikieta — huknęła raz i drugi, aż odgłos jej bór powtórzył i w prędki marsz udała się w głąb lasu.

Odetchnęliśmy — bośmy się jej zbyli z przed nosa, ale zato stokroć groźniejsze, bo niewidzialne groziło nam niebezpieczeństwo, którego nie wiedzieliśmy jak i gdzie unikać; — mogliśmy być tylko pewni, że tu, dokoła, otaczają nas całe roty kozackie, a odgłos bębnów zwiastował niezawodnie jakąś potyczkę.

Nadsłuchiwaliśmy... Po dobrym kwadransie zdawało nam się słyszeć, jakby odgłos tej tak wstrętnej i bolesnej dla polskiego ucha, przeciągłej komendy moskiewskiej... potem strzał, jeden, drugi — nareszcie, jakby regularne odstrzeliwanie się w miarowym porządku; naraz zagrzmiała salwa strzałów — potem znów po jednemu.

Nie było wątpliwości, Moskale złowili, jakiś oddział powstańczy... O Boże! miej w opiece, tych tam walczących braci naszych... Niech ich puszcz rodzinnych knieje, niech ich zmierzchy dobroczynnej Twej nocy, ukryją przed okiem tropiącego wroga.

Wiedziałem, że liczne oddziały powstańców, gromadzą się w lasach Litwy i Żmudzi, a chociaż każdy z nas, dawno ślubował życie na ołtarzu Ojczyzny, jednak wpadać małymi źle uzbrojonymi oddziałami w ręce Moskali, ofiara to bezowocowna a klęska ogromna dla formującego się głównego oddziału.

Przesiedzieliśmy, tak w oczekiwaniu z dobrą godzinę jeszcze, chwytając zdala odgłosy walki, jak się zdawało, coraz więcej ginącej w oddali i nie śmieliśmy wynurzyć głowy z oczeretów.

Nareszcie wszystko ucichło — dobry zmierzch już zapadać począł, gdy nadstawiając uszu, usłyszeliśmy łomot suchych gałęzi, gwar głosów i odgłos kopyt końskich.— Przybywa jakiś oddział, pewnie nieprzyjacielski, zwycięski, pędzący jeńców wpół żywych.

Cóż za radość napełniła serca nasze, gdy z poza drzew, ujrzeliśmy błyszczące, kosy i usłyszeli komendę w litewskim jezyku.

— Stój! Swój! krzyknąłem. Z kąd Litwini wracają? wrzeszczał z całego gardła Zygmunt, który całe to pomyślne zakończenie swojej szczęśliwej gwieździe przypisać usiłował.

Młody dowódca wstrzymał konia, nie wiedząc zkąd głos pochodzi. Pokazaliśmy się, odsuwając wodne zarośla.

— Brawo! Patrzcie, — ci zuchy po szyję w błoto wleźli, ze strachu, nie mogliście nam na pomoc przybyć, gdyśmy się bili?

— Koroniarze, mruknął drwiąco rycerskiej postaci Żmudzin, osmolony prochem, a który z jakąś dziką zaciętością przypatrywał się śladem krwi, na swej broni.

— Niema blizko granicy, aby uciekać? co? U was cała sztuka, aby się zręcznie cofać i ujść przed nieprzyjacielem — dorzucił z przekąsem.

— Gdybyśmy nie byli zdecydowani walczyć na śmierć i życie, nie przybylibyśmy do obozu ks. Mackiewicza. Przyznasz Pan, że nie na tośmy tyle dni o głodzie i chłodzie, przez puszcze wasze się darli, aby u kresu naszego celu, dać się wywieszać pierwszej lepszej placówce kozackiej.

— No, no Panowie! Wszakże to żarty. Czyż przykładem ojców naszych wszczynać będziemy swary domowe, gdy dach nad głową się pali, zainterweniował*) młody dowódca. Wszak nikt z nas dla satysfakcyi**) Moskali, nie da się zarzynać, a gdy pozycya stracona, a honor wojskowy, ani sprawa nasza na tem nie traci, dlaczegóż nie uniknąć zręcznie nieprzyjaciela. Nam dają przytułek nasze bory, was salwowała dotychczas bliskość granicy.

— Już to kto do naszego dostanie się obozu, to musi sobie powiedzieć, „bić, albo nie być“. My półśrodków nie znamy, półżycia nie chcemy, nam żyć, albo nieżyć, mówił z ogniem w oczach, z dziką zaciętością Żmudzin.

— I my tegoż zdania! — sprzykrzyły nam się partyzantki naszych generałów, które zatraciły swój charakter rewolucyjny, ograniczywszy się tylko do odpornych potyczek. Przelewają krew naszą na darmo i straszą tylko rewolucyą, aby zyskać na czasie i doczekać się interwencyi Europy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Wtrącił. **) Zadowolenia.

# O ciałach i zjawiskach.

Na każdym kroku spotykamy mnóstwo rzeczy, które zwykle omijamy, nie zwracając na nie najmniejszej uwagi, tak są na pozór pospolite, proste i nie przedstawiajace nic osobliwego. Że są pospolite, temu nikt zaprzeczyć nie może, bo któż z nas nie zna wody, soli kuchennej, trawy, krowy i wielu, wielu innych. Jeżeli jednak tym prostym i pospolitym rzeczom poświęcimy choć chwilkę czasu, aby się im przyjrzeć, dostrzeżemy mnóstwo szczegółów bardzo ciekawych. Jest ogólnie przyjęty zwyczaj, żeby wszystkie rzeczy, jakie istnieją na świecie, nazywać ciałami; ciałem jest kot, pies, krowa, trawa, drzewo, pszenica, żyto, woda, kamień, węgiel, sól kuchenna itd. Ciała między sobą różnią się nieraz i znacznie, bo przedewszystkiem jedne ciała żyją, a inne nie; ciałem żyjącem będzie pies, kot, krowa, koń, kura, gęś, kaczka, chrabąszcz, glista, pijawka, ślimak, mogą się one dowolnie poruszać, to znaczy, mogą bez niczyjej pomocy pójść lub polecieć, gdzie im się podoba. Takie ciała, które żyją i poruszają się dowolnie, nazywamy zwierzętami. Obok zwierząt widzimy ciała, które żyją, ale dowolnie poruszać się nie są w stanie n. p. jabłoń, topola, pszenica, grab. O tem, że one dowolnie poruszać się nie mogą, wie każdy, bo przecież jabłoń nie przejdzie nigdy z miejsca, na którem ją posadzono, gdzieindziej, rozchodzi się teraz o to, czy jabłoń żyje. Żyje, bo rośnie, kwitnie, daje owoce, na jesieni traci liście

i jakby umiera. Ciała, które podobnie, jak jabłoń, żyją, ale nie mogą się dowolnie poruszać, nazywamy roślinami. Ciała żyjące dzielą się więc na zwierzęta i rośliny. Oprócz ciał żywych istnieją jeszcze ciała martwe, które nie rosną, nie kwitną, nie giną, ani też się nie ruszają, takim jest kamień, sól kuchenna, węgiel, woda, powietrze.

Wszystkie ciała, czy żywe, czy martwe, ulegają ciągłym zmianom, kot rośnie, liść żółknie i usycha przed zimą, groch kiełkuje, owija się koło tyczki, woda na ogniu wrze nieraz tak silnie, że aż pokrywka na garnku skacze, na mrozie marznie na lód, kamienień w strumieniu leżący ogładza się, jakby poleruje, żelazo w ogniu rozgrzewa się, zmienia kolor, staje się czerwonem, a nawet może się stopić. Wszystkie zmiany, jakim ciała polegać mogą, nazywamy zjawiskami. Zjawiskiem jest tak samo kiełkowanie grochu, żółknięcie liści, miauczenie kota, jak marznięcie wody lub rozbijanie kamienia na mniejsze kawałki.

Ciała martwe są często jedne do drugich niepodobne zgoła, ani co do wyglądu, ani co do zmian, jakim podlegają, ot pomyślmy sobie, tylko kamień a woda. Kamień ma kształt, którego tak bez cudzej pomocy zmienić nie może, tak samo drzewo, przedmioty z żelaza, klucz zostaje dopóty kluczem, dopóki go kowal na co innego nie przekuje. Żelazo, kamień, drzewo mają kształt stały, więc je nazywamy ciałami stałemi. Cząsteczki malutkie ciała stałego trzymają się siebie, jak gdyby były klejem zlepione i trzeba użyć siły, żeby je rozerwać. Ciężką pracą i dużo siły kosztującą jest tłuczenie kamieni na posypywanie drogi.

Ciał stałych jest bardzo wiele, i każdy na zawołanie kilkadziesiąt ich wyliczyć potrafi. Kawałek ciała stałego np. grudka ziemi, położona na stole, zachowuje ten sam kształt, jaki miała, gdy leżała na roli, a nie zasypuje nam całego stołu. Tymczasem woda w szklance ma kształt szklanki, a wylana z niej rozlewa się płasko a szeroko, mocząc ziemię czy stół, a nigdzie nie tworzy się kupka wody. Z tego widać, że cząsteczki wody nie trzymają się mocno między sobą, woda cieknie na wszystkie strony, jest więc ciałem ciekłem. Woda własnego kształtu nie ma, tylko ma ten kształt, co naczynie, w którem ją trzymamy, jak zamarznie w konewce, to dostajemy kawał lodu taki, jak konewka. Wszystkie ciała, które się zachowują podobnie do wody, to jest nie mające własnego kształtu, ale przybierające kształt naczynia, w którem się znajdują, nazywamy ciałami ciekłemi albo cieczami. Cieczą jest więc nafta, spirytus, mleko i t. d

Poznaliśmy więc już dwa rodzaje ciał: stałe i ciekłe; są jednak takie ciała, które nie są ani ciekłe, ani stałe, ot powietrze nie jest ani ciekłe, ani stałe, ono jest gazem. Wszystkie ciała na świecie dzielimy na stałe, ciekłe i gazowe. Oprócz powietrza jest jeszcze wiele innych gazów, wielkie miasta np. Kraków, Lwów oświecamy gazem świetlnym. Niektóre ciała mogą po kolei być stałemi, ciekłemi lub gazami. Woda na zimnie marznie, zamienia się w lód, który jest ciałem stałem; woda ogrzewana wrze, uciekają z niej małe bąbelki, może wreszcie całkiem się wygotować, to znaczy cała zamienić się na gaz inny niż powietrze, a noszący nazwę pary wodnej. Żelazo w ogniu możemy stopić na ciecz, tak samo ołów lub cynę. Bardzo wiele ciał ciekłych możemy oziębiając zamienić na stałe, a ogrzewając na gaz. Taka zmiana ciała stałego na ciekłe jest też zjawiskiem.

Zjawisk jest ogromnie wiele, bo jakim to zmianom nie podlegają ciała? Jeżeli jakiś kamień rzucimy, to chociaż on się porusza, nie przestaje być kamieniem, gdy go rozbijemy młotkiem na mniejsze części, to każdy kawałek jest tem samem, co i cały był przedtem. Woda zamarznięta na lód ma te własności, co i woda ciekła i wystarczy lód trochę ogrzać, żeby otrzymać ciecz Kawałek żelaza ogrzany ma ten sam kształt, tyle waży, co i zimny, a po oziębieniu wygląda tak, jakby nigdy nie był ogrzewany. Zostawmy jednak ten sam kawałek żelaza przez dłuższy czas na powietrzu, pokryje się wnet warstwą rudego proszku, czepiającego się palców, w niczem do żelaza niepodobnego: powiadamy wtedy, że żelazo zardzewiało, ten rudy proszek to jest rdza, i każdy wie, że ona tworzy się z żelaza. Mydło w wodzie pieni się, woda zabarwia się przytem niebieskawo, a ani piana, ani woda w niczem do mydła w kawałku podobna nie jest. Zjawiska takie, które natury samego ciała nie zmieniają, n. p. ogrzewanie, oziębianie, rzucanie, ściskanie są przedmiotem wielu, wymagających pracy i cierpliwości badań, zajmuje się niemi osobna, bardzo ważna nauka: fizyka. Zjawiskami, przy których ciała się zupełnie do gruntu zmieniają, więc rdzewieniem, mydleniem itd zajmuje się inna nauka, nosząca nazwę: chemia.

Obydwie te nauki są] ogromnie ważne,

nietylko z tego względu, że są nam pomocne do poznania piękności i wielkości świata i potęgi Boga, który to wszystko stworzył, ale i dla względów całkiem praktycznych. Przy fabrykacyi rozmaitych rzeczy, które każdy człowiek kupuje i których codzień się używa, zwłaszcza chemia szerokie ma zastosowanie. Każdy więc człowiek powinienby znać się choć trochę na tych sprawach, żeby mógł uniknąć wielu przykrych a często nawet bardzo nieszczęśliwych pomyłek, wynikających z nieznajomości tego, co się bierze do użytku. Zjawiska chemiczne zachodzą przy każdej czynności gospodarskiej, czy to praniu, czy to gotowaniu, biciu masła lub kiszeniu ogórków, gospodyni musi więc wiedzieć nietylko z doświadczenia, jak się do tego brać, ale i umieć to objaśnić, bo doświadczenie to droga długa i uciążliwa, tylko z wiekiem i latami dostępna, a nim się do niej dojdzie, ileż zawodów i niepowodzeń czeka każdą gospodynię.

*Przodownica* wiedząc, jak niezbędną i konieczną jest dla każdej gospodyni pewna znajomość chemii, postanowiła stale pomieszczać pogadanki z chemii w zakresie takim, jaki może mieć zastosowanie przy gospodarstwie domowem.

# Woda studzienna.

Częstą przyczyną rozmaitych chorób zwierzęcych i ludzkich bywa woda używana do picia; dlatego każdy gosodarz powinien zwracać jak najtroskliwszą uwagę na studnię, z której czerpie wodę do użytku w swojem gospodarstwie.

Woda może być szkodliwą z dwojakich przyczyn. Albo zawiera w rozpuszczeniu szkodliwe dla zwierząt i ludzi składniki, albo we wodzie znajdują się zarodki chorób. Zkądże dostają się do studni tak szkodliwe składniki? Odpowiedź na to pytanie znajdziemy, gdy zastanowimy się nad pochodzeniem wody studziennej.

Wiadomo, że woda deszczowa lub śniegowa spływa w części po powierzchni ziemi do rowów i rzek, w części zaś wsiąka w grunt. Ta ostatnia część wody nie pozostaje w głębi ziemi w spokoju, lecz krąży ustawicznie w szczelinach i większych rozpadlinach, znajdujących się we wnętrzu ziemi, aż po długich niekiedy wędrówkach wypływa w odpowiedniem miejscu jako woda źródlana na powierzchnię ziemi. Gdzie naturalnego źródła nie ma, tam można wodę sztucznie na wierzch wydobyć, jeżeli żyła wody podziemnej znajduje się w niewielkiej głębokości. W tych warunkach jest urządzenie studni łatwem i niekosztownem. I w studni nie pozostaje woda w spokoju, lecz znajduje się w ciągłym ruchu, bo pomimo ciągłego jej czerpania nie ubywa jej wcale, gdyż świeże zapasy dopływają wciąż do studni, z dalekich nawet stron. Odwrotnie ubywa wody w czasie długotrwałej posuchy i tem prędzej, im mniejszy obszar ziemi służy do zaopatrywania studni w wodę.

Skoro woda takie wędrówki w głębi ziemi odbywa, nic dziwnego, że tak często zawiera szkodliwe jakieś składniki, bo stykając się już na powierzchni ziemi z różnemi nieczystościami, a następnie krążąc w jej wnętrzu po tylu pokładach — zabiera ze sobą najrozmaitsze cząstki i wprowadza je do studni.

Bardzo często zawiera woda wapno w rozpuszczeniu, często żelazo, a niekiedy i inne metale, jeżeli przepływa przez pokłady ich rud. Żelazo daje się poznać po żelazistym smaku wody, oraz po błyszczących i mieniących się warstewkach, ukazujących się na powierzchni wody; nie mniej i po tem, że na dnie studni znajduje się osad rdzawej barwy. W płytkiej studni można ten rdzawy osad łatwo dostrzedz, w studni głębokiej trzeba wodę zaczerpnąć od samego spodu, by go zobaczyć. Jeżeli na powierzchni wody studziennej ukazuje się taka błyszcząca powłoka, ale rdzawego osadu na spodzie studni nie ma, to ta mieniąca się powłoka wody nie jest żelazem, lecz pochodzi od smołowatych składników, które się tworzą z gnijących roślin, jak n. p. na torfach. Jeżeli woda z takich gruntów podziemnemi szczelinami dopływa do studni, to na powierzchni wody studziennej będą takie błyszczące warstewki, a będą one w części smołowatemi ciałami, w części zaś żelazem, bo na torfach znajduje się zwykle dużo żelaza. W obu razach jest woda szkodliwą. Woda żelazista wywołuje często choroby żołądkowe u zwierząt i ludzi, a owe domieszki, dochodzące z roślin gnijących, są także często przyczyną chorób u ludzi i zwierząt.

Ta mieniąca się w świetle powłoka może

mieć jeszcze inną przyczynę, bo może pochodzić z gnojówki, dopływającej do studni szczelinami podziemnemi. Czy tak rzeczywiście jest, można osądzić po niemiłym zapachu wody. Taka woda jest najszkodliwsza dla zdrowia ludzi i zwierząt.

Jak wapno, żelazo i inne domieszki, tak i zarodki chorób dostają się do wody studziennej. Są zaś o tyle niebezpieczniejsze, że wywołują różne ciężkie choroby zaraźliwe u ludzi i zwierząt, a nie dadzą się dostrzedz gołem okiem, nie zmieniają też ani smaku wody, ani jej barwy.

Od dopływu do studni składników mineralnych i roślinnych, pochodzących najczęściej z torfowisk, niekiedy także z sąsiednich fabryk, jak n. p. huty żelazne, smolarnie itp. można się czasem uchronić większem pogłębieniem studni, zazwyczaj jednak bywa wybranie nowej studni zupełnie w innem miejscu jedynie skuteczne. Studnia, znajdująca się w pobliżu gnojowni lub wychodków ludzkich, a okazująca powyższe podejrzane oznaki — powinna być jak najrychlej zasypana, a w jej miejsce należy ową studnię w innem miejscu wykopać.

Od dopływu zarodków chorób trudno się czasami uchronić, gdyż one mogą pochodzić nietylko z poblizkich wychodków ludzkich. W takiem jednak sąsiedztwie studnia nie powinna się nigdy znajdować. Jeżeli zaś w czasie zarazy panującej w okolicy, zarodki chorób przypływają z wodą, krążącą w ziemi i do zdrowej zresztą studni wchodzą — w takim razie nie pozostaje nic innego, jak tylko pić wodę po poprzedniem jej doskonałem przegotowaniu (warzeniu).

## Wieści ze świata.

Pod tym tytułem będę Wam teraz pisywała, kochane Czytelniczki i Czytelnicy, różne wieści ze świata, wchodzące w zakres gospodarstwa domowego, przemysłu i dobrobytu, a czerpać je będę z innych gazet, które opisują jak bracia nasi z pod innych zaborów, o wiele nas wyprzedzili w postępie.

„Gazeta świąteczna“ wychodząca w Warszawie, podaje nam mnóstwo różnych opisów, które są godne naśladowania.

W powiecie Miechowskim zebrało się kilkunastu gospodarzy i przy pomocy ludzi dobrej woli, ułożyli i spisali u notaryusza umowę spółki, która by się zajęła sprowadzaniem dla członków dobrego zboża do siewu, nawozów sztucznych, narzędzi rolniczych i innych w gospodarstwie potrzebnych przedmiotow.

Członkowie przy podpisaniu umowy złożyli każdy po 20 rubli, i za te pieniądze sprowadzili kilkanaście korcy dobrych odmian zboża do siewu. Zapłacili za to bardzo drogo, bo prawie dwa razy tyle co się zwykle płaci, ale zato mieli ziarno piękne i plenne. Zboże rozdano członkom do siewu, a na drugi rok okazało się, że pszenica wydała po 18 a nawet i 24 korcy z morga, przytem ziarno było tak piękne, że sprzedawali je po 2 ruble drożej na korcu niż zwykle. Zarobili więc członkowie spółki podwójnie, bo mieli lepszy zbiór i piękne ziarno i drożej go sprzedali. Zachęceni takiem powodzeniem, posłali próbki swego zboża na wystawę do Petersburga, i dostali srebrny medal. Rozeszła się wtedy przez gazety wiadomość, że spółka, którą nazwali „Jutrzenka“ ma takie piękne zboża i z różnych stron kraju zaczęto posyłać do niej zazamówienia na zboże do siewu.

Spółka ta założona dopiero w roku 1899, a zboża pięknego jest już tak dużo, że musieli wynająć dom w miasteczku Miechowie na skład, tam zsypują swe ziarno i stamtąd sprzedają na różne strony świata. Spółka kupuje także narzędzia rolnicze wprost z fabryk, z pierwszej ręki, a że to są rzeczy drogie, więc tylko jedną sztukę kupują i używają jej wszyscy po kolei. Ażeby poprawić rasę koni, spółka sprowadziła rasowego ogiera ze stada rządowego. Członkowie spółki do swych klaczy mogą go używać bepłatnie, inni zaś gospodarze na stosownem wynagrodzeniem.

### „Jedność“ — spółka gospodarska.

We wsi Podlesiu koło Koniecpola, utworzyła się spółka gospodarsko-handlowa, pod nazwą „Jedność“. Umowa jej została spisana urzędownie w obecności notaryusza, do spółki zapisało się 21 włościan, z których każdy wniósł po 10 rubli wkładki. Spółka zajmuje się zakupnem zboża ulepszonego i innych roślin uszlachetnionych. Spółka założyła także w swojej wsi sklep, w którym z początku nie szło dobrze, bo we wsi już dwa sklepy żydowskie były, ale wkrotce ludzie się przekonali, że towary w spółce są lepsze, waga i miara sprawiedliwsza, a ceny tańsze, więc sklep

„Jedności“ rozwija się znakomicie, a sklepy żydowskie upadają.

Takie spółki gospodarsko - przemysłowe spotykać można w Królestwie, to jest pod zaborem rosyjskim, bardzo często, dlatego też tam włościanie dobrze się mają i pieniędzy jest dosyć.

## Wspólny piec do chleba.

W niektórych miejscach członkowie spółki pobudowali piece wspólne do wypiekania chleba, przekonali się bowiem, że o wiele mniej wychodzi drzewa jeżeli się w jednem piecu ciągle pali i równocześnie 2 lub 3 gospodyń piec razem może. W taki sposób można parę razy w tygodniu mieć chleb świeży, nie koniecznie czekać z pieczeniem do tygodnia.

## Dobra gospodyni.

Magdalena Jabłońska, gospodyni we wsi Guźlinie pod Brześciem Krupawskim, umyśliła wyhodować ziemniaki z nasienia. Zebrała jeszcze w r. 1901 owoce jakie są na badylach ziemniaczanych, ususzyła na słońcu jak wszystkie nasiona, i na rok następny zasiała w ogrodzie. Zebrała 4 miarki drobnych ziemniaczków, które przechowała w piwnicy. W zeszłym roku na wiosnę zasadziła te drobne ziemniaczki, a w jesieni wykopała pięknych, dużych i bardzo dobrych ziemniaków 10 korcy. I tak przez swoją zabiegliwość, miała prawie darmo te 10 korcy ziemniaków i nasienie odmłodzone. Oby i nasze gosposie poszły za jej przykładem, a przekonałyby się jak łatwym sposobem wielką korzyść można osięgnąć.

## Ubrania tandytne.

Różni nieuczciwi handlarze sprzedają po miastach a szczególniej na jarmarkach mnóstwo odzieży używanej ale odnowionej i wyczyszczonej tak starannie, że wygląda, jakby była zupełnie nowa. Bardzo niebezpiecznie odzież taką kupować. Handlarze nabywają często takie ubrania od ludzi chorych lub po zmarłych na choroby zaraźliwe i wcale nie dbają o to, że w takiem ubraniu mieści się mnóstwo zgubnych dla zdrowia zarodków. Niejeden też zachęcony wielką taniością, kupi sobie takie ubranie i nosi je, ale w niedługim czasie dostaje jakiejś choroby ciężkiej albo paskudnej i nieraz nie domyśla się nawet, że się jej od owego odzienia nabawił. Podobnie stało się niedawno z jednym młodym wieśniakiem, który kupił sobie w Płocku za 7 rubli całe ubranie, niby to nowe, bo w sklepie u żydów, ale na prawdę, było ono już dawniej noszone. Wkrótce też dostał bardzo nieprzyjemnej choroby zwanej świerzbem, a pokazało się, że jej dostał od tego, co dawniej to ubranie nosił. Na doktora i lekarstwa wydał 20 rubli, zanim się pozbył tej paskudnej choroby, a to tanie ubranie wrzucił do pieca i spalił.

Gdybyżto nasi młodzi włościanie chcieli posłuchać dobrej rady, a zaniechali tych tandytnych ubrań. Biała sukmana jakże pięknem jest ubraniem dla włościanina, a że dużo kosztuje, to można i z białego płótna domowego robić takie płótnianki, jak noszą włościanie w okolicach Rzeszowa.

## Towarzystwo „Snop“.

Pod taką nazwą zawiązało się stowarzyszenie większych rolników dla wzajemnego ubezpieczania na wypadek ognia zbóż, paszy, zwierząt, narzędzi, maszyn i wewnętrznych urządzeń zakładów w gospodarstwie jak młyny, cukrownie, gorzelnie i t. d. Każdy gospodarz powinien koniecznie zabezpieczyć na wypadek pożaru, cały swój ruchomy, nieruchomy i żywy dobytek. Boć wiadomo, że ciągle mnóstwo domostw, stajen i stodół pali się ze wszystkiem nieraz co w nich jest.

Ale niestety, trudno zabezpieczyć się mniejszemu gospodarzowi każdemu z osobna, bo podróż urzędnika Towarzystwa na miejsce i różne opłaty początkowe bardzo są kosztowne. Otóż niech mniejsi gospodarze w każdej okolicy, łączą się w spółki ubezpieczniowe, na mocy umowy notaryalnej.

Każda taka spółka, jako niby jeden właściciel jednego dużego obszaru może zabezpieczyć w jakim Towarzystwie galicyjskiem, które już są bardzo po naszych miasteczkach rozpowszechnione, płody i inne rzeczy wszystkich naraz wspólników, a wtedy koszt na każdego z nich, bardzo nie wielki wypadnie.

## Smutne wieści.

Smutne wieści nam przynoszą dzienniki, o wojnie rosyjsko-japońskiej. Już ten sam wyraz: Wojna! grozą przejmuje każdego spokojnego człowieka, a cóż dopiero nas dla których ta wojna jest znównową klęską. Chociaż pozornie nie ona nas dotyczy, ale serce ściska się z żalu, że znów tyle tysięcy naszych braci odzianych w rosyjskie mundury, krew swoją młodą przelewać będzie w obronie Rosyi. Bo jest zwyczaj w Królestwie że nowo pobranych

rekrutów z Królestwa, Wołynia, Podola i Litwy pędzą w głąb Rosyi a stamtąd nasyłają do polskich prowincyj Mongołów i Kozaków. Robią to dlatego, żeby wojsko z narodem, między którym przebywa, byli sobie wrogami i żyli zawsze w niezgodzie. Boją się, żeby te dwa narody, które stanowią siłę. nie zaprzyjaźniły się z sobą, nie podali sobie bratniej ręki, bo wtenczas źle byłoby z wielką Rosyą. Weszło w zwyczaj u naszych zaborców, że w czasie wojny na pierwszy ogień posyłają polskie pułki, oszczędzają swoich, a naszych biednych braci na zagładę i nieuniknioną śmierć wysyłają. Szczycą się nami, bo wiedzą że Polak się nie cofnie, śmiało idzie w ogień, choć wie, że z niego nie wyjdzie, mieliśmy już dosyć smutnych tego dowodów.

I. dziś, choć serce szarpie się w kawałki, musimy stać spokojnie i patrzeć się, jak ta młoda krew polska płynie strumieniami, bo jesteśmy bezradni, bośmy n i e w o l n i k a m i!

*W. C.*

# Kilka słów o mleczarstwie.

Mleczarstwo jest to w kraju naszym rzecz już bardzo stara. Od niepamiętnych czasów gospodarze u nas bydło trzymają, aby mieć mleczywo na użytek własny i czeladzi i woły do roboty: a najbardziej na to, żeby mieć nawóz do mierzwienia ziemi, urodzajność jej podtrzymywać i powiększać. Bydło ze swym nawozem było i jest podstawą naszych gospodarstw rolnych. Dlatego gospodarze zwłaszcza zaś we dworach trzymali i trzymają krów więcej, niż do wyżywienia domowników mleczywem potrzeba. Ale co robić z resztą mleka, o to gospodarz mało dawniej się troszczył. Uboższy zwalał całą troskę na swoją kobietę, która robiła, masło, sery, albo i samo mleko nosiła lub woziła na targ do miasta. Folwarczny zaś gospodarz oddawał wszystek prawie udój w dzierżawę, nazywaną po niemiecku pachtem. Dzierżawca też mleczny czyli „pachciarz“ na własną już rękę prowadził cały przemysł nabiałowy i handel mleczywem. Dziś w wielu miejscowościach to się zmieniło w innych się zmienia.

Przemysł ten i handel biorą w ręce właściciele majątków. W niejednym folwarku nabiał staje się głównym wytworem gospodarki. Na polach tam uprawiają się przeważnie rośliny pastewne, a obory rozszerzono, większe w nich zaprowadzono ochędóstwo i porządek, powiększono ilość krów i to lepszych ras, dojniejszych. Posprawiano też i używają do mleka różnych nowo powymyślanych naczyń, maszyn i wozów. Nawet koleje żelazne pozaopatrywały się w osobne wozy do mleka. Powstają też i spółki, stowarzyszenia mleczarskie, których członkami są właściciele majątków jakiejś okolicy; mają one wspólne urządzenia, zakłady do przerobów z mleka, nie zawsze właściwie nazywane „mleczarniami“. Niedaleko od wielkich miast, są istotnie takie spółkowe duże mleczarnie. Z nich codzień i po parę razy dziennie wiozą do miast mleko świeże, niezbierane, które się sprzedaje po sklepach i mleczarniach miejskich na butelki a raczej słoiki zatkane lub na szklanki i miski do spożycia na miejscu. W innych, dalszych od od dużych miast miejscowościach owe zakłady mleczarskie nie są naprawdę mleczarniami, chociaż je często tak zowią, lecz są to albo serownie, bo w nich sery wyrabiają, albo i najczęściej są to maślarnie. W nich mleko świeże nie idzie na sprzedaż, ani się stawia w spokoju żeby się ustało, ale się wlewa do maszyn, do maszyn kręcących się bardzo szybko, lecz nie z góry na dół, tylko poziomo, od prawej ku lewej, lub od lewej ku prawej stronie. Tu, z powodu szybkiego wirowania, samo mleko chude, ponieważ jest cięższe, leci od środka i od osi obrotu jak najdalej, ku brzegom i zarazem nieco ku górze, jak ciężkie ziarno przy wianiu zboża, i wpada do odpowiednio umieszczonych rurek a temi rurkami odpływa do przystawionej kadzi; tymczasem tłuszcz z mleka czyli sama śmietanka, która jest lżejsza, pozostaje bliżej środka wirówki, opada, jak plewy zboża i inną znowu dziurką spływa osobno do drugiego zbiornika. Z tak oddzielonej i zebranej śmietany robią masło, opakowują je dobrze i rozsyłają kupcom choćby w świat daleki na sprzedaż.

Możnaby myśleć, że przy takim wzroście i rozwoju przemysłu mlecznego łatwiej nam wszystkim o mleko, a ten pokarm dla ludności wiejskiej najpożywniejszy, a dla dzieci wszelkich stanów główny i niczem nie dający się całkowicie zastąpić. Jednakowoż nie zupełnie tak się dzieje. Po większych miastach, co prawda, łatwiej o dobre mleko teraz, niż bywało dawniej; ale po miasteczkach, dworach i wioskach w niektórych okolicach spra-

wa ta nietylko się nie poprawiła, lecz przeciwnie, pogorszyła się.

A sprawa to ważna i pilna. Ludzie więc, którzy nietylko są przemysłowcami i kupcami, ale przedewszystkiem są obywatelami, to znaczy, że mają obowiązek dbać nietylko o swe własne i rodziny swej potrzeby, lecz także o potrzeby i pożytek innych bliźnich i społeczeństwa całego, ludzie tacy, obywatele winni bacznie tę sprawę rozważyć, i co w niej jest niedobrego naprawić, lub na lepsze zmienić, przerobić.

Mleko zbierane, odtłuszczone zapomocą wirówki, nie jest samo przez się ani szkodliwe dla zdrowia, ani pozbawione pożywności. Owszem, główna część pożywności mlecznej pozostaje w niem całkowicie, nienaruszona. Bo najwięcej pożywności w mleku daje nie tłuszcz, nie śmietana, tylko sernik (czyli ser w mleku zawarty); a ten sernik i po oddzieleniu śmietanki pozostaje w chudem mleku prawie wszystek. Wadą mleka chudego jest to, że jest mniej smaczne od tłustego; ma też, juźci mniej od niego pożywy, bo pozbawione jest tłuszczu; wreszcie mniej ono bywa strawne, a raczej za prędko przez wnętrzności ludzkie przechodzi, tak, że część jego marnuje się, odchodzi precz, nie pożywiwszy człowieka. Ale mimo to wszystko jest ono dla ludzi dorosłych i dla podrastającej młodzieży jeszcze jednym z najpożywniejszych i najlepszych pokarmów. Aby zaś było zdrowe i wszystkim szło na pożytek, trzeba je czysto utrzymywać, a spożywać nie surowe, lecz ugotowane, i nie samo, ale jeść z chlebem, z kaszą, z zacierkami, z kluskami byle nie twardemi lub wreszcie z ziemniakami. Wtedy samo to mleko staje się o wiele strawniejsze i posilniejsze.

Zdarza się jednak często, że mleko chude z wirówki, jak również i śmietanka od niego oddzielona, i masło z takiej śmietany, nabierają jakiegoś dzikiego, nieprzyjemnego smaku przyczem muszą się też stawać nieco mniej strawne, mniej pożywne i zdrowe. Bywa to wtedy, gdy maszyna odtłuszczająca czyli owa wirówka zamało czysto jest utrzymywana, nie wymywana jak należy wszędzie wewnątrz zaraz po każdem jej użyciu; wymywać zaś ją dobrze z jej rurkami nie jest bardzo łatwo.

# ROZMAITOŚCI.

**Zabór rosyjski**. W gminie Głusk pod Lublinem, do której należą wsie Zemborzyce, Wilczopole i kilka innych, rząd chciał założyć szkołę wiejską kosztem 6 tysięcy rubli, które miały być rozłożone na całą gminę. Mieszkańcy, nie chcą mieć za własne pieniądze rusyfikacyjnego zakładu, odrzucili ten zamiar na zebraniu gminnem. — Wówczas chwycono się często używanego środka i sfałszowano protokół w nadziei, że chłopi tak napisanego w języku rosyjskim nie zrozumieją. Tak się też stało. Wkrótce potem zażądano od chłopów ze wsi Wilczopole zapłacenia niby to uchwalonego podatku. Ci nie wiedząc o niczem, odmówili i trzykrotnie stawili skuteczny opór władzom policyjnym, które chciały ich dobytek zajmować. Dla złamania oporu tanim kosztem zawezwano kilkunastu chłopów — każdego oddzielnie do Lublina do sędziego śledczego — i osadzono w więzieniu. W trzy tygodnie później podobna historya powtórzyła się w Zemborzycach. Na miejsce zjechał gubernator, wicegubernator, policmajster, 100 policyantów, 20 strażaków i kilku żandarmów. Gubernator rozkazał chłopom zgromadzić się. Gdy jednak ci nie posłuchali lecz zamknęli się w swoich domostwach, przystąpiono do zabierania dobytku.

Policyanci rozbiegli się po wsi i zaczęli zabierać chłopom dobytek. — Jeden z gorliwszych, wachmistrz z Chełma, dla fantazyi strzelił z rewolweru, poczem ktoś krzyknął; „Mużyki strelajut!“ Zaczęło się bicie i katowanie każdego, kto się nawinął pod rękę lub szedł przypadkiem drogą, przyczem szczególnie znęcano się nad kobietami. Staruszkę 70-cio letną zbito do tego stopnia, że nieprzytomną wyratował od śmierci gubernator, który nareszcie uznał, że kijów było dosyć. 19 gospodarzy i 2 kobiety skrępowanych i pokrwawionych odstawiono w biały dzień do więzienia w Lublinie. Jako dowód wieziono broń odebraną miateżnikom w postaci jednego kołka, którym pewien gospodarz dał po łbie policyantowi, pastwiącemu się nad jego żoną. Pozostałym Zemborzyczanom zapowiedziano, że o ile w przeciągu 3 dni nie zapłacą podstępem uchwalonego podatku, czeka ich postój trzy sotni kozanów. Wiadomo zaś, co taki postój oznacza: zupełne zniszczenie dobytku i pastwienie się nad ludnością.

Coraz częściej zachodzące wypadki w rodzaju przytoczonego wyżej oświadczą o wzrastającem uświadomianiu ludu w Królestwie, a zarazem o tem, że rząd wyrzekł się już roli dobrotliwego ojca i opiekuna ludu, a chwycił się systemu bezwzględnego i okrutnego gwałtu.

**Szkoła duńska**. Pani Marya Weryho, znana autorka wielu cennych prac o wychowaniu, odbyła nie-

dawno wycieczkę do Danii, gdzie zwiedziła szkołę duńską i spostrzeżenia swoje podaje w najnowszym zeszycie *Przeglądu pedagogicznego*.

Jak wygląda szkoła w Danii, ów słynny wzór, godny naśladowania, wzbudzający podziw u wszystkich, którzy mieli sposobność zaznajomienia się ze szkolnictwem ludowem na Zachodzie?

Długi domek parterowy, otoczony z jednej strony ogrodem, z drugiej wyżwirowanem podwórkiem. We wnątrz przedpokój z wieszadłami, duże, jasne sale szkolne, wygodne ławki, zastósowane do wzrostu dzieci. Na blokach karty geograficzne, na ścianach wizerunki mężów zasłużonych dla narodu na różnych dolach działalności społecznej i tablice z przyrodoznawstwa.

„Trzeba wiedzieć, że wioska Gilleleje jest wyłącznie rybacką, dlatego też i zabawy dzieci czerpią swą treść z tej dziedziny. Gra w „wieloryba“ ma taki charakter. Do zajęć szkolnych należy także gimnastyka, którą w lecie zastępuje nauka pływania. O godzinie 1 zajęcia bywają zupełnie skończone, a wtedy — opowiada pani W. — poszliśmy do skromnego mieszkania starszego nauczyciela, który nam udzielił bliższych wiadomości o szkolnictwie ludowem. — Istnieje tu przymus szkolny. Dzieci wstępują do szkoły po ukończeniu 7-go roku życia i chodzą przez lat sześć. Ferye mają w ciągu roku krótkie: tydzień na Boże Narodzenie, tydzień na Wielkanoc, tydzień na Zielone Świątki. W sierpniu kończy się rok szkolny.

Jako dowód, czem jest szkoła dla dziecka, zapytywałam we wsi, co wolą: szkołę, czy dom? Wszyscy mi odpowiadali, że przekładają szkołę, choć nie wszyscy mogli określić, dlaczego. Dopiero kilku odpowiedziało: „dlatego, że w szkole jest nauczyciel“.

Gdy chłopiec, mając lat 14 do 15, skończy szkołę, utrzymuje swój serdeczny stosunek z nauczycielem; radzi się go, przesiaduje u niego wieczorami i zwierza mu się ze swych myśli i zamiarów.

Z porady tych nauczycieli wiejskch powstały kolonie wakacyjne. Rozstrzygnięto tę sprawę w nadzwyczaj prosty sposób. Każdy wieśniak przyjmuje do siebie na miesiąc jedno lub dwoje dzieci, naturalnie, zupełnie bezpłatnie, a pośredniczą w tem nauczyciele. Każdy nauczyciel ze szkoły miejskiej zapisuje dzieci, które chcą korzystać z pobytu na wsi. Nauczyciel wiejski ze swojej strony zapisuje te rodziny, które mogą dziecko przyjąć na lato. Gdy przychodzi miesiąc wakacyj, wszystkie dzieci z miasta odprowadza na kolej nauczyciel, który daje im bilet i notatkę z adresem. Kolej wskazuje wagon, przeznaczony wyłącznie dla uczniów, a konduktor ma nad niemi szczególną opiekę. Za przejazd koleją dzieci też nic nie płacą. — Na miejscu, na wsi, spotyka je nauczyciel i odprowadza na ich letnie siedziby.

Duńczycy są z natury bardzo uprzejmi, więc zawsze mile witają swych gości, a stosunek pomiędzy dzieckiem a jego opiekunami często wywiązuje się taki serdeczny, że zapraszają do siebie tych samych letników kilka razy z rzędu. Tym sposobem z samej Kopenhagi wyjeżdża rocznie 15.000 dzieci, a załatwia się to bez pomocy biur, urzędników, składek i ofiarności publicznej.

**Burze w Anglii** szalały w ostatnich dniach i spowodowały wylew Tamizy i innych rzek angielskich. Tak wielkich powodzi, jak obecne, dawno już mieszkańcy Anglii nie pamiętają. Pod Windsorem, Tamiza podniosła się tak wysoko, że zalała całą płaszczyznę aż do zamku królewskiego. Większość miejscowości w dolinie Tamizy także zalana. Również w wielu miastach wyrządziła burza i powódź znaczne szkody; Portsmouth cały pod wodą; w Brighton wzburzone fale morskie zniszczyły zupełnie tor kolei elektrycznej. W samym Londynie stan wody podniósł się także do niebywałej wysokości; w wielu miejscowościach kąpielowych morskich tamy i drogi nadbrzeżne uległy zniszczeniu. Na wyspie Jersej dało się uczuć silne trzęsienie ziemi.

**Przez Wisłę po lodzie**. Hrabia Franciszek Jezierski z Sobień jechał ze swego majątku w powiecie garwolińskim, gubernii siedleckiej, ku Magnuszewu w gubernii radomskiej. Podczas przejazdu przez Wisłę lód się załamał, a powóz z całą czwórką koni zatonął. Właściciel i woźnica zdołali wydobyć się z wody na lód i doszli do lądu, gdzie dopiero po godzinie marznięcia znaleźli jakiś przytułek dla ogrzania się.

**Szkodliwy wpływ dymu tytoniowego na pokarmy**. Francuski uczony *Bourrier* stwierdził przez ścisłe badania, że potrawy przechowywane w miejscach, w których palono tytoń, ulegają wpływowi nader szkodliwemu. Potrawy to mogą stać się wprost nawet trującemi. Szczególnie nabiał, a więc mleko, masło i ser, łatwo przesiąkają dymem. Podobnież piwo, choćby tylko przez czas krótki wystawione na działanie dymu tytuniowego, robi się niesmacznem, a przy dłuższem wystawieniu, staje się nawet szkodliwem dla zdrowia.

**Głód w Chinach**. Klęska głodowa szerzy się w Chinach południowych. Już w październiku r. z. ryż sprzedawany był po bardzo wysokich cenach, a zboża wcale nie można było kupić, gdyż w ciągu ostatnich lat dwóch zbiory były tak małe, że z Chin południowych nie wywożono, lecz musiano je do tej prowincyi skądinąd przywozić, W miejscowości Kweiping chłopi sprzedali wszystkie sprzęty domowe, narzędzia robocze, odzież i bydło, by kupić potrzebne środki żywności. Całe rodziny żywią się wyłącznie kilku dekami ryżu, które mieszaja z trawą, korzeniami i liśćmi. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy mężczyźni sprzedawali się do roboty; z Kantonu nadchodzą codziennie okręty angielskie, wiozące na pokładzie dziesiątki

kobiet i dziewcząt, które sprzedawane są w niewolę. Według obliczeń misyonarzy, około 30.000 ludzi sprzedanych zostało w ten sposób. Tysiące ludzi umiera z głodu.

**Polowanie na szczury.** Miasto Freienwalde w Niemczech jest nawiedzone tak groźną plagą szczurów, że magistrat musiał ogłosić na pierwsze dni lutego wielkie polowanie na te zwierzęta, pod kierownictwem weterynarza miejskiego. Komisarze każdej dzielnicy mają czuwać nad wykonaniem zarządzeń gminy i kierować tępieniem szczurów. Gmina wyznaczyła nagrody dla właścicieli domów, którzy się szczególnie odznaczą w tem masowem polowaniu. Urząd weterynarski miejski rozdaje nadto bezpłatnie truciznę na szczury każdemu, kto się zgłosi.

**Kosze z drzewa do roznoszenia paszy.** W każdem gospodarstwie używa się w czasie żywienia inwentarza w stajni do roznoszenia drobno pociętej paszy do żłobów, koszów z witki wierzbowej, takich samych jak te, które służą jesienią do zbierania ziemniaków. Kosze te przy częstem użyciu nie wytrzymują zwykle długo, tak że często trzeba świeże kupować, co pociąga za sobą znaczniejsze wydatki. Można sobie oszczędzić tego kosztu, używając kosztów drewnianych, łatwych do naprawy, a wygodnych w użyciu. Wyrób ich jest bardzo prosty. Ściany boczne wycina się półkulisto z cienkiej lekkiej deski topolowej lub sosnowej, łączy się je klepkami ze starych beczek od cementu, poskracanych należycie po obu końcach, stosownie do potrzebnej wielkości kosza. Klepki te, przybite na półkulistym obwodzie bocznych desek, stanowią dno kosza. Takie kosze drewniane są tanie i trwałe. Używać ich można także w kuchni do ziemniaków lub noszenia do kuchni opału.

**Cegły korkowe.** Z odpadków przy fabrykacyi korków do flaszek zaczynają obecnie wyrabiać cegły. Odpadki te pocięte na drobne kawałeczki miesza się z gaszonem wapnem rozrobionem z gliną garncarską. Otrzymaną w ten sposób masę wyrabia się następnie w formach pod lekkiem ciśnieniem, poczem suszą się cegły w piecu przy temperaturze 140—150 stopni Można używać do tego celu pieca piekarskiego. Cegły korkowe są nadzwyczaj lekkie, dostatecznie wytrzymałe, złe przewodniki gorąca; dają się łatwo dzielić, spajają się, jak zwykłe cegły wapnem, gipsem lub cementem, mają jednak nad tamtemi tę wyższość, że można w nie wbijać gwozdzie i wiercić w nich z łatwością dziury. Wreszcie, co się może wydać nieprawdopodobnem, są prawie ogniotrwałe. Pociągnięte smołowcem, są doskonałym materyałem na lodownie.

**Jak obchodzić się z lampami naftowemi uwzględniając zdrowie.** (Ciąg dalszy). Kiedy światło niepotrzebne, lepiej zgasić je całkiem. Ale i przy gaszeniu, wielu popełnia nie mniejsze nadużycie przez zadmuchywanie, palącej się pełnym knotem lampy. Takie zadmuchywanie jest podwójnie naganne: raz dlatego, że wywołuje one całe obłoki gęstego dymu naftowego, którego wprawdzie po zgaszeniu lampy w ciemności nie widać, ale zwącha go łatwo każdy, ktokolwiek posiada zmysł powonienia, a jednocześnie i z powodu, że może to wywołać wprost wybuch (explozyę), pęknięcie lampy, kalectwo, pożar! A więc przy wydmuchywaniu lampy poprzednie obniżenie knota jest wprost konieczne.

Zatem wszyscy dbali o czystość, zwłaszcza narządów oddechowych własnych i swego otoczenia, oraz o bezpieczeństwo, powinni pilnie baczyć przy używaniu lamp naftowych: po pierwsze, na palenie zawsze płomieniem umiarkowanym, nie czadzącym, ani zbyt obniżonym, ani też przesadnie wypuszczonym; powtóre, przy gaszeniu — o szybkie zniżenie knota i zadmuchnięcie bez natężenia, mogącego mieć wyżej orzeczone przykre, a nawet smutne następstwa.

Prócz tego, mimo wszelkiej ostrożności, palenie nafty zawsze powietrze psuje, zużywając dużo tlenu, potrzebnego dla płuc naszych, a wydzielając szkodliwy dla nas kwas węglowy. Powinno się więc z podwójną starannością przewietrzać pokoje, oświetlane naftą, szczególnie sypialnie w obecnej porze.

Mamy więc nadzieję, że uwagi niniejsze zostaną chętnie uznane i zapamiętane co najmniej przez używających lampy naftowe.

**Szkodliwość zmarzniętych resztek śniegu po polach i łąkach.** Równo spadły śnieg wywiera na pola i łąki wpływ bardzo dobroczynny, chroniąc oziminy i trawy przed ostrymi mrozami. Pozostałe atoli po stajaniu śniegu tu i owdzie resztki zasp śnieżnych działają na rośliny wprost szkodliwe. Tając, zbija się śnieg coraz więcej tak, że znajdujące się pod nim rośliny zostają zupełnie odcięte od powietrza i w końcu muszą zmarnieć. Trawa i ozimina często pod taką powłoką wyprzeje. Koniecznem jest przeto te zbite kupy śniegu porozbijać, by tem samem rośliny od szkodliwych następstw chronić. W takim razie śnieg w porozbijanych kupach działa nawet dodatnio, bo ściągając amoniak z powietrza użyznia rolę. Wiadomo każdemu rolnikowi z doświadczenia, że po zimach obfitych w śniegi, bywają następnego lata lepsze urodzaje.

**Podkarmianie głodnych pszczół w zimie.** Aby głodny rój w zimie podkarmić, trzeba wnieść ul do izby niezimnej, ale i nie za ciepłej, a ciemnej zupełnie, z zawieszonemi oknami, i wziąć się do roboty tylko przy świetle świecy. Otworzyć ul bez stukania, a jeśli pszczoły zaczną się ruszać, to podmuchać na nie dymem, żeby się nie rozlatywały. Miseczkę z miodem trochę ciepłym podstawić pod gniazdo tak, żeby końce plastrów zanurzyły się w wodzie, i ul zamknąć. Gdy już pszczoły z miski miód zabiorą, należy je zaraz wynieść do pasieki na swoje miejsce. Jeśli miód do podkarmiania jest za gęsty, to trzeba do niego przymieszać trochę wody, ale nie zadużo, bo zbyt rzadki

zaszkodziłby pszczołom. Kto miodu nie ma, może podkarmiać roje syropem z cukru. Do gorącej wody wsypać cukru tyle, żeby syrop po ostudzeniu był tak gęsty, jak miód. Gotując go, trzeba szumowiny zbierać łyżką i wyrzucać. O tej porze należy głodnemu rojowi dać przynajmniej cztery funty miodu, żeby go wystarczyło do wiosny. Rój głodny można poznać po tem, że gdy stukasz w ul, to posłyszysz w nim przez oczko tylko słaby i przeciągły szelest, jakby wiatr liśćmi poruszał.

**Praktyczny sposób** zapobiegania cofaniu się wozów na drogach spadzistych. Kto ma drogi spadziste, a zniewolony przewozić ciężary, naraża często konie i wozy na cofanie się, z czego powstają nieraz nieszczęścia, gdy konie na twardej drodze pod górę ciągnąć wielki ciężar, a chcąc odpocząć, stają, ale mimo to piersiami ów ciężarowy wóz powstrzymywać muszą. Sposób zapobieżenia temu jest bardzo prosty: Bierze się dwa wałki okrągłe, długości 40 cm., a grubości 15 cm. i te za pomocą łańcuszków przytwierdzonych do tylnej osi, umiescza się tak, aby się wlokły w porzek, każdy pod jednem kołem. Gdy wóz się cofa na spadzistej drodze, oba wałki dostają się pod koła i wóz bezpiecznie wstrzymają od dalszego się cofania. Na równej drodze można oba wałki zawiesić jednym końcem na hakach, przy tylnej osi w środku umieszczonych.

**Obskubywanie pierza przez kury.** Kury zwykle w zimie zamknięte w kurnikach, obskubują pierze. By temu zapobiedz, należy kurom także w zimie zadawać pokarm zielony z mięsnemi odpadkami. Dobrze jest również mieszać ziarno z piaskiem, aby drób zmusić do grzebania, a temsamem skrócić nudy, główny powód obskubywania pierza.

**Żółtko blade w jaju okazuje,** że w paszy dla drobiu jest brak potrzebnych materyi, czyli składników żelaza, przez co drób słabnie. Aby temu zapobiedz, należy ptactwu do karmy siekanej dodawać spinaku, lub pokrzywy.

**Co czynić należy przed dojeniem i po wydojeniu?** Przed dojeniem trzeba wymię krowy suchym sposobem dobrze wyczyścić i ogon dobrze przywiązać. Po wydojeniu każdej krowy z osobna powinna każda osoba dojąca ręce swe umyć i starannie wytrzeć. Natychmiast po wydojeniu trzeba mleko przecedzić przez sito mosiężne i przez sitko barchanowe — te dwa sitka trzeba w wielkiej czystości utrzymywać — poczem, jak tylko można najprędzej, mleko z obory wynieść, silnie ostudzić i na noc przechować w miejscu chłodnem, do innych celów gospodarczych nie służącem. Przykrywy konewek mlecznych trzeba początkowo tylko luźno przyłożyć, aż dopiero do przewozu mleka dokładnie założyć.

# PYTANIA i ODPOWIEDZI.

**Za życzenia** noworoczne, za życzenia rozwoju, i dużo prenumeratorów *Przodownicy*, dzięki serdeczne przesyłamy. Naszym pragnieniem, by pisemko to zadowolniło wszystkich czytających, by stało się poradnikiem, przyjacielem Waszym.

**Roczników** *Przodownicy* z lat poprzednich nie posiadamy, są bowiem zupełnie wyczerpane. Z roku 1903 można jeszcze otrzymać numery 7, 8, 9, 10, 11 i 12.

**Reklamacyi** nie opłaca się, reklamując zaginiony numer pisemka, trzeba na kartce wyraźnie napisać „reklamacya“.

**Na wszelkie pytania**, tyczące się czy to gospodarstwa domowego, czy rolnego, czy rad i wskazówek, jak dziatki chować i chronić od słabości, chętnie odpisywać będziemy w *Przodownicy*. Prosimy Was Drogie Czytelniczki, abyście w każdej chwili z całą otwartości i szczerością do nas się zwracały z pytaniami i życzeniami.

**Sz. panu Stylińskiemu wysyłamy** drugi elementarz. Niech Bóg błogosławi w podjętej pracy nad nauczaniem dziatwy, czytania i pisania po polsku. Jak nauka postępuje, czy dzieci są pilne i zdolne, prosimy bardzo, donieść nam, jak również, o najpilniejszych dzieciach, którym przeszlemy w nagrodę za wytrwałą naukę, ładne książeczki. Oby Ojczyzna nasza więcej miała takich synów, którzy w wolnej od ciężkiej pracy chwili pracują nad ratowaniem dziatwy polskiej od wynarodowienia ucząc je języka polskiego.

**Wydaną została przez p. Jana Świętka** bardzo piękna powieść pod tytułem „Sierota“. — Książka o 157 stronnicach kosztuje 20 h. dla prenumeratorów *Przodownicy*.

Kto życzy sobie ją kupić, niechaj zwróci się wprost do p. J. Świętka: Dyrekcya kolei państwowych. Kraków, plac Matejki. Powieść tę polecamy —

**Kalendarze Kaspra Wojnara trzeba zamawiać** u niego w księgarni ulica Szewska l. 13, Kraków. Prenumeratorzy *Przodownicy* otrzymują 25 procent zniżki na każdym kalendarzu.

**Droglej nam Maryni Skibównie** przesyłamy, wyrazy wielkiego uznania, za zapraszanie koleżanek w każdą niedzielę po nieszporach, dla wspólnego czytania *Przodownicy*, i wysyłamy książkę do przeczytania pod tyt. „Pojata“ czyli „córka Lezydejki“. Czy się Wam spodoba, proszę napisać.

**Która z Was** życzy sobie, by jej przesłać przepisy na ciasta wielkanocne; przepisy jak marynować szynki, robić kiełbasy, niechaj się zwróci do redakcyi, a natychmiast żądane wiadomości przeszlemy.

**Książki pezesłane przez p. Burę,** otrzymaliśmy. Czy się podobały? Prosimy o doniesienie.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni M. Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

# DJABLIK W CHACIE.

## BAŚŃ LUDOWA

przerobiona na scenę dla teatrów ludowych

przez

JADWIGĘ Z ŁOBZOWA.

---

### OSOBY:

MARYANNA (kobieta starsza).
KUBA (ojciec).
MICHAŁ } dzieci.
JÓZIA }
SĄSIADKA.
DJABLIK.
DZIADEK.

(Scena przedstawia izdebkę wiejską, czystą, lecz ubogą — przy stole siedzi Maryanna i szyje).

### SCENA I.

MARYANNA *(śpiewa)*.

„Ciebie On z łowczych obieży wyzuje,
„I w zaraźliwem powietrzu ratuje“.

(Z kąta, lub z za kuferka wyłazi djablik, mały, czarny, z rożkami).

DJABLIK.

Już śpiewa!... już mnie wygania.. brrr... usiedzieć nie mogę, nie wiem, gdzie się ukryć. *(Kręci się, szuka kąta, wlazi za ławkę)*.

MARYANNA *(śpiewa)*.

„W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie
„Pod Jego pióry...

DJABLIK.

O joj! joj! gdzie ja się podzieję... gdzie ja się skryję ?...

MARYANNA *(smutno)*.

Stateczność Jego, tarcz i puklerz...

DJABLIK *(wychodząc, mówi wpół schowany, wpół skryty)*.

Nic, ino modli się, a pracuje... Mnie tylko przeszkadza, a jej nie mogę do grzechu skusić... ani rusz.

MARYANNA.

Koszulina połatana będzie dla Michasia; teraz naprawię dla Zosi.

DJABLIK.

I znowu robota! Żeby tak chociaż z pół godziny popróżnowała, tobym ją do grzechu skusił, bo to — ha! ha! ha!... najlepiej djablikowi, jak kto próżnuje, wtedy tylko co bądź szepnąć, coś pokazać i już grzech jest...

MARYANNA *(oglądając koszulinę)*.

Stare to i biedne, ale cóż robić, jak bieda, najlepiej cierpliwie naprawić i Boga za wszystko chwalić.

### SCENA II.

(Ciż, wchodzi Michaś).

MICHAŚ.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

MARYANNA.

Na wieki wieków...

DJABLIK *(chowa się)*.

O joj! joj! joj!...

MARYANNA.

Zmarzłeś? moje biedne dziecko, napracowałeś się, a ja ci nie mam co dać na wieczerzę...

DJABLIK *(wsuwając się)*.

Może teraz da się skusić...

MICHAŚ.

Jak tam matulu dacie ze dwa ziemniaki, to i dosyć... prześpię się do rana.

MARYANNA *(idąc do szafki)*.

Schowałam dla ciebie — umyślnie schowałam, dobre dziecko... co to? niema? ktoś mi zjadł?

DJABLIK *(skacząc)*.

Ha! ha!... nie nadarmo ja tu siedzę — ja cię muszę do gniewu skusić...

MARYANNA *(płacząc)*.

Cóż ja pocznę nieszczęśliwa? od ust sobie odjęłam, aby dać dziecku... memu dobremu dziecku... *(płacze)*.

DJABLIK *(skacze i ręce zaciera)*.

Ha! ha! doskonale... może choć raz zaklnie.

MICHAŚ.

Nie płaczcie... ja nie głodny.

MARYANNA *(spokojnie)*

Cóż robić... jak niema, to niema... widać taka wola Boża, abym ciebie nie posiliła...

SCENA III.

(Wchodzi Józia).

JÓZIA.

Pochwalony Jezus Chrystus!

MARYANNA.

Na wieki wieków!... moje dziecko kochane...

JÓZIA.

Tak zmarzłam matusiu, tak biegłam przez drogę... brrr... zimno...

MARYANNA.

Czekaj! czekaj! zapalę parę szczypek, będzie tu cieplej... *(szuka za szczypkami)*.

MICHAŚ *(do Zosi)*.

Nie masz co zjeść ?... głodnym.

JÓZIA.

Ani troszki.

MARYANNA.

E, co znowu ?... gdzież szczypki, com sobie schowała ?... pamiętam dobrze, żem tu postawiła.

JÓZIA.

O! jak zimno... głodnam...

MARYANNA.

Miałam trochę drzewa, aby rozgrzać stancyę jak przyjdziecie, ale ktoś mi zabrał... nieszczęśliwa moja dola...

DJABLIK *(skacząc)*.

Doskonale! ha! ha!... teraz pewnie rozgniewa się, zaklnie i już będzie grzech...

MARYANNA *(płacząc)*.

Cały dzień w stancyjce nie paliłam, aby dzieci trochę rozgrzać, a teraz nie mam czem rozpalić...

JÓZIA.

Nie płaczcie matulu... już zgrzałam się i tak.

MICHAŚ.

Siadajcie, będę wam trochę czytał.

MARYANNA.

Uszyjemy z Józią spodniczkę dla sąsiadki, to nam zapłaci -- będzie na chleb...

JÓZIA.

Na drzewo!

MICHAŁ.

Na ziemniaki...

MARYANNA.

To czytaj... weselej mi zaraz, gdy wy w stancyjce... a ojciec wnet nadejdzie.

DJABLIK.

Już znowu to samo!.. praca i modlitwa! Jakże ja ich do grzechu skuszę ?... Czy już nie dam rady, czy co ?...

MICHAŚ *(czyta)*.

Żył pewnego razu pobożny i cnotliwy człek

SCENA IV.

(Ciż i wchodzi Kuba).

KUBA.

Niechże będzie pochwalony!...

WSZYSCY.

Na wieki wieków!...

KUBA.

Dawaj babo jeść!

MARYANNA.

Nie mam nic...

KUBA.

Jakaś ty gospodyni ? taka z ciebie żona!... słuchajno!...

MARYANNA.

Nie przyniosłeś mi tego miesiąca ani centa; ja mało zarobiłam...

DJABLIK.

Ha! ha!... może teraz mi się uda sztuka... może teraz...

KUBA.

Ja głodny nie będę, co bądź wyniosę, abym chleba dostał *(bierze cnotę)*.

MARYANNA *(płacząc)*.

Oddaj! nie wynoś tego... dam ci lepiej do sprzedania młotek jeden, może dadzą za niego trochę chleba.

KUBA.

To idź Michaś i sprzedaj, ja już zmęczony.

(Za Michasiem znika djablik).

SCENA V.

(Ciż bez Michasia).

KUBA *(siadając)*.

Roboty nigdzie. Chyba trzeba... żebrać...

MARYANNA.

Niech Bóg broni... wolimy cierpieć...

KUBA.

Cierpieć i cierpieć, ale za co?... po co?...

MARYANNA.

Bóg to wie!... Chcemy pracować, a jak Bóg daje inaczej — trudno.

KUBA.

Żebym przyszedł zły jak pies, to ty mnie kobieto uspokoisz — prawda!... Boża to wola nędza, zimno, głód.

JÓZIA *(całując ojca w rękę)*.

Biedny ojciec!...

MARYANNA.

Jak sumienie mamy spokojne, to wszystko dobrze.

SCENA VI.

(Ciż i Michaś — w drzwiach djablik).

MICHAŚ.

Mam dużo pieniędzy! Patrzcie rodzice!... tyle... ogromnie wiele!... *(wysypuje na stół)*.

WSZYSCY.

Zkąd to? za co?

MICHAŚ.

Jakiś pan mnie spotkał i dał, teraz możemy być bogaci...

DJABLIK *(w drzwiach)*.

Może ich bogactwem prędzej do grzechu skuszę.

MARYANNA.

Niech będzie Bogu za to chwała; trzeba na podziękowanie dać ofiarę do kościoła.

DJABLIK *(trzęsąc się)*.

O joj! joj!... co ja pocznę...

JÓZIA.

O tak!... Ale mi matusiu kupicie jedwabną chustkę, złote trzewiczki...

MARYANNA.

Po co? na co!... lepiej dać na biednych.

DJABLIK.

O joj! joj!... coraz gorzej... ile! o! ile!...

MICHAŚ.

Ja już teraz do roboty chodzić nie będę.

MARYANNA.

Tobyś zaraz próżniactwem zgrzeszył i takażby była twoja wdzięczność dla Boga za to, że nas w biedzie wsparł?

DJABLIK.

Na nic moje pieniądze — nie grzeszą... muszę czego innego spróbować *(wychodzi)*.

SCENA VII.

(Ciż bez djablika).

MARYANNA.

Wiecie co?... oto sąsiad nasz chory oddawna, dzieci tam drobne; zanieśćby mu trzeba pożyczkę, wszak uczy Bóg, aby biednym łzy ocierać.

JÓZIA.

Zaniosę!... A tej sierotce, co służy u złej stryjenki także pożyczę, taka jest... *(wychodzi)*.

MICHAŚ.

Dajcież matulu, teraz rozpalę i rozgrzeję naszą zimną izbę...

SCENA VIII.

(Wchodzi sąsiadka — w drzwiach djablik).

SĄSIADKA.

Wiecie, co wszyscy mówią?... Powiadają, że wy ludzie najlepsi na świecie... że wasze dzieci najpiękniejsze.

KUBA.

Może być, nie dziwota — uczymy ich.

MARYANNA.

Gdzie tam, gdzie, ot ludzkie gadanie. Nie od ludzi sąd zależy, ale od Boga! Czasem ten, co się ludziom wydaje najlepszy...

SĄSIADKA *(żywo)*.

Ani wy nigdy się nie gniewacie, ani wy próżnujecie, ani wy narzekacie... cała wieś mówi, że wasza Józia, to królewna najpiękniejsza.

DJABLIK *(zacierając ręce)*.

Teraz zgrzeszy pychą.. Teraz ją chwycę...

MARYANNA.

E, tam twarzyczka, aby serce było dobre, a dziecko ot jeszcze czasem uparte, czasem leniwe... proszę Boga zawsze, aby dał jej cnotę dziecka.

DJABLIK *(zły)*.

Nie udało się... co ja pocznę?...

SĄSIADKA.

A ten stary, kulawy, obraził was dzisiaj, mówił na was takie rzeczy.

MARYANNA.

Biedny! Będzie miał grzech za to, bo to nie wolno ludzi obmawiać...

SĄSIADKA.

Zaskarżcie go, zgniewajcie się na niego.

MARYANNA.

Za co?... Toż on biedny i tak będzie miał dość do odpokutowania.

DJABLIK *(zły)*.

Nie dam rady! ani nędzą ani bogactwem, ani pychą ni plotkami... co ja pocznę?

SĄSIADKA.

Bądźcie zdrowi... do widzenia *(odchodzi)*.

SCENA IX.

(Wchodzi Józia).

Michasiu!... woła ciebie kolega, — wyjdźno tam!... *(Michaś wychodzi)*. Teraz ja będę czytała; tu przyniosłam wam ojcze sera dobrego.

DJABLIK *(do siebie)*.

Jak mi się teraz nie uda ich do grzechu doprowadzić, przepadnie mój zakład.

SCENA X.

MICHAŚ.

Patrzcie ojcze i matko... w tej flaszcze ma być cudowne, czarowne lekarstwo na wszystkie frasunki, kłopoty, na zmartwienia, ono doda siły wiele, ono wesołości da dużo... skosztujmy...

KUBA.

Dawaj! *(pije z flaszki)* dobre!

DJABLIK *skacząc)*.

Już go mam! już go mam!...

MICHAŚ.

Dobre!... pijcie matko!...

MARYANNA.

Ja nie wierzę w takie lekarstwa; ktoś ci nagadał nie wiedzieć co.

MICHAŚ.

Ale dobre, skosztujcie.

DJABLIK *(skacząc)*.

Już ją mam! już ją mam!

MARYANNA *(kosztując)*.

Dobre, napij się Józiu.

JÓZIA *(pijąc)*.

Jeszcze wy ojcze raz.

DJABLIK *(skacząc)*.

Wygrałem zakład! teraz zgrzeszą...

KUBA *(po pijanemu)*.

Dawaj jeszcze!... nie zawadzaj! *(bije Maryannę)*.

MARYANNA.

Bodaj cię! Żeby ci!...

DJABLIK *(skacząc)*.

Przeklina! wygrałem *(zbliża się do nich)*.

MICHAŚ.

Czekaj matko! ustąp się *(chce pić wódkę)*.

JÓZIA

Niema ładniejszej w świecie, jak ja...

WSZYSCY RAZEM *(trącając się).*

Żeby cię! .. bodaj cię!...

DJABLIK *(w środek między nich wskakuje).*

Ha! ha! ha!

WSZYSCY.

Co to?... kto to?...

## SCENA XI.

(Wchodzi dziadek).

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

DJABLIK *(chowa się pod stół).*

O joj! joj!... gwałtu.

DZIADEK.

Co się tu dzieje? ludzie? co za krzyki?

WSZYSCY.

Ustąp się! żeby cię!... bodaj cię...

DZIADEK.

W imię Ojca i Syna...

DJABLIK *(ucieka).*

O joj! joj!... ratujcie!...

DZIADEK.

Cóżeście pili z tej flaszki?... co? wódkę?... to was aż wódka do grzechu przyprowadziła, dy ona taka mocna, ona taka mądra, że czego djabeł nie mógł zrobić ani nędzą, ani głodem, ani mrozem, ani pychą i bogactwem, to wódka zrobi! Widzicie ludzie?...

WSZYSCY *(ze wstydem).*

My nie wiedzieli.

DZIADEK.

Żyliście w nędzy i głodzie, pracowali poczciwie, Boga chwalili, a ciężkiego grzechu nie mieli, otóż chciał was djabeł skusić do grzechu, wszystkiego próbował — nie udało się, dał wódkę, poczęliście kląć i bić się... *(rzuca flaszkę za nimi)* precz ty od szatana... a wy na kolana i Boga błagajcie... *(zrzuca płaszcz, w białej szacie staje, wznosi ręce nad klęczącymi i mówi)*: Jeśli nie chcecie grzechu i piekła, jeśli żyć chcecie w bogobojności i poczciwości, wyrzućcie wódkę.

DJABLIK *(krzycząc, ucieka).*

O joj! joj! joj!

WSZYSCY.

Nigdy już pić nie będziemy!

KONIEC.

---

(Scenę można urządzić w sali szkolnej między stołem i ławkami, dać stół, krzesło, szafkę i t. d. Djablik ma mieć czarne zwykłe ubranie, miotełkę jak szablę przypasaną, na głowie kapturek czarny i twarz poczerniona. Dziadek potem może się także przemienić za anioła, miałby białą długą szatę, skrzydełka małe i t. d; Maryannę i Kubę dzieci mogą grać trochę wyższe i ubrane jak osoby starsze; ubranie albo wiejskie albo półwiejskie).

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka.**

W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.